NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 2 Listopad 1936 Rok XI

W dniu 11-ym listopada połączyliśmy się z całą Polską, aby uczcić Tych, Którzy Obdarowali pokolenie nasze Wolnością.

Zgodnie ze zwyczajem licealnym, stającym się już tradycją, zespoły klasowe młodzieży rozjechały się po wsiach powiatu Krzemienieckiego z przygotowanymi programami i wzięły udział w uroczystych obchodach zorganizowanych przez szkoły lub organizacje wiejskie.

Wyjazdy te były zawsze dotąd omawiane na łamach naszego pisma. Tym razem pragniemy im poświęcić numer grudniowy Naszego Widnokręgu

Pięciokrotne wyjazdy nasunęły nam wiele spostrzeżeń i myśli, potrzebne jest więc zastanowienie się głębsze nad ich celem i wartością

Wzywamy wszystkich interesujących się tym zagadnieniem do napisania i nadesłania krótkiej rozprawki na temat: Sens wyjazdów listopadowych. Kilka najciekawszych rozprawek wydrukujemy w grudniu. Jeśli rozwinie się dyskusja, udzielimy jej miejsca w numerach następnych.

Prace należy nadsyłać do Redakcji do dnia 6 grudnia b. r

R e d a k c j a

CO TO BĘDZIE?

Znajdźmy trochę wolnego czasu, samotny spokój i spojrzyjmy za siebie i dookoła siebie.

Ale tak niezwyczajnie, szeroko, daleko — zobaczymy dużo ciekawych rzeczy.

A więc za siebie:—nasz rówieśnik i życie n. p.w XVII w. Mówimy oczywiście o tych, którym danem było wpływać na życie, jeśli chcieli, o szlachcie. Młodzieniec dobrze utrzymany, bestroski, bujny — instyktownie śmieje się do nieskomplikowanego życia. Tatuś ma kilka folwarków, mniej lub więcej, ale o przyszłość nie trzeba się martwić. Syn, jeśli okoliczności przemawiają za tym, uczy się trochę—ale to zjawisko stosunkowo rzadkie.

Przeważnie konik, palcaty, szabelka, czy rusznica. I tak dzień w dzień; dla urozmaicenia uroczystości familijne, odwiedziny; kiedy dorastał—bale, kuligi, polowania z towarzystwem.

Życie wydawało się proste—przygotowanie doń przychodziło niejako samo przez się. Około trzydziestu obeznanie się ze sprawami publicznymi. Słuchanie i udział w dyskursach starszych przy winie—„depublicis". Spraw tych dochodziło do dworku niezbyt wiele, poglądów na nie jeszcze mniej. Familie miały swój sposób traktowania rzeczy przychodzących zzewnątrz, który to sposób wchodził w krew, ustalał się w młodym codzień na każdym kroku.

Wyrwanie się z tej orbity wpływów, życie szersze i trudniejsze było udziałem wyjątków.

Szara masa uczyła się życia łatwo i żyła podobnie. Nic nie brało za kark, nie żądało poglądu, siły, deklarowania, aktywności, cyrografu.

Żyło się, „jak u Pana Boga za piecem". Z biegiem czasu komplikuje się życie w zastraszający sposób i popatrzmy dziś:

Prawo do wpływania na życie i odpowiedzialność za nie mają niby wszyscy. Przyjrzyjmy się naszemu życiu i nam, którzy przygotowujemy się do czynnego udziału w nim.

Już od 7-go roku życia idziemy w ramkach. Wstań w porę, ubieraj się, jedz szybko, bo się spóźnisz do szkoły. W klasie masz być na 20 przed ósmą, aby cię mogli rozruszać ze snu, szturchnąć niejako w bok: „Uważaj, ruszaj się, bo tu robota cię czeka". Jeśli nauczyciel lekcji nie przeciągnie, masz przerwę—5,10 minut. Przypuśćmy, że uda ci się rozbawić w najlepsze — a tu! Dwonek. Rzuć zabawę, zmieniaj momentalnie nastrój, wchodź spokojnie da klasy, ułóż się w ramce wzorowości.

Dostałeś w domu, albo miałeś inny wypadek, nie masz nastroju, głowa Cię boli, źle się czujesz, pociąga Cię co innego —nie wolno! „Nieposłuszny, trudny do prowadzenia, leniwy, zły, nic z niego nie będzie—kamienie tłuc, bydło paść, albo do szewca!“ Choćbyś się którymś przedmiotem silniej zajął, przypomną Ci mocno, że teraz jest czas na co innego. Nauczyciel nie może bawić się indywidualizacją—bo klasa przypełniona, gniotą go programy, przepisy, polecenia, wskazówki przełożonych, którzy znowu są skrępowani i tak dalej, i tak dalej.

Wyrwiesz się ze szkoły; „Poczekaj na obiad, aż tatuś przyjdzie z zajęcia, musimy jeść razem“—matka ma swoją rację, swoją słuszność.

Przy jedzeniu nie śpiesz się, siedź porządnie, nie gadaj, nie śmiej się, bo ci się zwali na głowę sto przezwisk od zmęczonych starszych, albo jeszcze co gorszego.

Po obiedzie, jeśli jesteś na wsi, pogonisz bydło z książkami pod pachą, boć musisz lekcje odrobić; jeśli rodzice nie dadzą Ci roboty, pójdziesz z nimi na przechadzkę. Pies idzie na smyczy, ty koło mamusi, tatuś pali papierosa i narzeka na nowe podatki. Wszystko w porządku. Od czasu do czasu wyrwiesz się gdzieś w pole, pobiegać trochę, ale to źle. „Nieładnie i ubranie zabrudzisz, zniszczysz, pracy rodziców nie szanujesz”.

Kiedy otrzymasz polecenie: „odrabiaj lekcje”—odbywasz je szybko, jaknajprędzej i nareszcie wylecisz na swobodę, jeśli są warunki po temu; jeśli masz gdzie, z kim i czym się bawić. Jeśli nie, wałęsaj się z kąta w kąt. Raz na miesiąc szalejesz ze szczęścia, gdy idziesz do kina. Tu się napatrzysz, nasłuchasz, masz marzeń i snów na dłuższy czas.

Przejdziesz przez szkołę powszechną, masz szczęście dostać się do gimnazjum—tu masz to samo w silniejszym stopniu. Przypuśćmy jeszcze, że wsadzą cię do internatu.

Pilnuj się na każdym kroku, bo nie potrafisz wyliczyć z pamięci przestępstw przeciwko regulaminom szkolnym i internackim za które mogą Cię wylać.

O każdym swoim kroku meldujesz kilku instancjom opiekuńczym i jeśli Ci pozwolą, wyrywasz się z pod doraźnej opieki, zawsze zresztą świadomy, że Cię dobrze pilnują.

Zaufania Ci nie okażą, bo mógłbyś przepis złamać i wtedy co?—Oni przecież odpowiadają.

W stosunku do szkoły powszechnej masz jeszcze pewne dodatki: a więc: kilka godzin na tydzień zajęć popołudniowych.—

obowiązkowych i nadobowiązkowych, ale obowiązkowych. Pozatem zebrania klasowe, próby przed imprezami i jeśli Cię to interesuje, zebrania kół i organizacyj, jakie się w szkole zdołały utworzyć i do których cię dopuszczono.

Internat swoją drogą chce cię całkowicie zająć: Do 2.30 obiad, potem jeśli zapomną otworzyć drzwi na górę, poczekasz z dżewem na rękach 10 minut na schodach; dalej sprzątanie, zamiatanie, palenie (oczywiście w piecach), a potem palto i na przechadzkę do wpół do 5-tej. Z dzwonkiem siadasz z całą paczką współtowarzyszy na korytarzu i uczysz się do 7.10 Obok chodzą bez przerwy ludzie w różne strony, dzwi skrzypią i kołacą, koledzy niespokojnego ducha sprzeczają się, wychowawca prawi komuś kazanie, a ty się mimo wszystko uczysz—tak trzeba i koniec.

Na dzwonek schodzisz spokojnie na kolację i tak wkółko.

Każdy kwandrans życia masz zgóry wyznaczony przepisami.

A tam gdzieś, poza murami szkoły i internatu wre to prawdziwe życie, do którego kiedyś musisz wpaść jak w ukrop, zechcesz, czy nie zechcesz, to obojętne, tam są takie groźne a niepojęte potwory, jak komunizmy, Fronty Ludowe „kolorowe koszule", zbrojenia, wojny, rewolucje, pakty, kontrakty, memorjały, zjazdy i cały ten piekelny aparat: wielka polityka, słowo otchłanne tak trudne do wypełnienia czymś konkretnym, dorzecznym, zwyczajnym.

A bliżej: swoja polityczna „Dolina bez wyjścia", ciche i głośne rozmowy o kryzysie ustroju, obiecanki, pogróżki, strajki, procesy polityczne, i inne, o których nie chcą mówić, abym nie został źle zrozumiany.

To wszystko kotłuje się, przewala, toczy się beznadziejnie niewiadomo dokąd—a my w pewnym czasie automatycznie w to wpadamy.

Minimalny odsetek z pośród nas jest przygotowany do utrzymania równowagi w tym kotłowisku—a mamy nietylko prawo, ale i obowiązek nietylko utrzymać równowagę, ale i wpływać na bieg tych rozlicznych i skomplikowanych spraw.

Zróbmy w tym miejscu konieczną konfrontację: Poważne, aż groźne, powikłane, o żywiołowej sile zagadnienia i my, każdy zosobna—nasze przygotowanie—i świadomość, że bez względu na naszą wolę i nastawienie ponosimy odpowiedzialność i to nietylko doraźną, ale historyczną za bieg tych spraw.

Trzebaby sobie tutaj powiedzieć, że życie nas przygniata, zasypuje swoimi drobiazgami i żąda jednocześnie oddania się zupełnego sprawom zasadniczym, ogólnym, a palącym i koniecznym.

Logicznie rozumując, należałoby stwierdzić, że sytuacja jest nieomal bez wyjścia, konflikt zasadniczy.

Są jednak i to nawet różne koncepcje zaradcze. Chciałbym pomówić o nich w formie artykułu polemicznego w następujących numerach Naszego Widnokręgu.

J. D. II Kurs Pedag.

GRANICA...

Było jeszcze bardzo ucześnie, kiedy się obudziłam. Spojrzałam w trójkątne, po góralsku w promienie wyrzynane okno. Słońce już wzeszło i wyłaniało się powoli z za wysokiego, sosnowego lasu. Przenikało szparami pomiędzy ciemno-zieloną gęstwiną, przebijało się przez czuby dżew, oświetlało pojedyncze, zrzadka po całym zboczu - rozsiane, smukłe świerki. Hen, naprzeciw, widniała zwarta ściana gór. Jedno zbocze było nagie. Leżały na nim potężne, stare dżewa, powalone —niewiadomo—siłą wiatru lub piorunu, czy też ręką ludzką. Wydawało się ponure, puste. Dalej pasmo garbatych, zalesionych gór, spowitych lekką, przejrzystą mgiełką, w której przeświecało słońce. Na horyzoncie poszczególne, dumne szczyty sterczały wysoko we mgle, która jeszcze nie opadła, tworząc przedziwne kształty. W szczelinach załamywały się promienie słońca, odbijały, nadając dziwną powagę i uroczysstość; ślizgały się po szczytach, ozłacały je, przenikały las, dotarły do wysoko położonej willi i oświeciły błyszczący napis: „Ira", aż wpadły przez nawpół otwarte okno do małego pokoiku na piętrze, odbiły się od małych szybek, napełniły cały pokój światłem i musnęły lekko zagrzebaną w poduszkach twarz Baśki.

Śpiąca przeciągnęła się, mruknęła coś niezrozumiale, ziewnęła, otworzyła powoli oczy i—skoczyła na równe nogi. Sennie spojrzała w okno, po tym na mnie i, ubierając się śpiesznie, rzekła: „—Słuchaj, Stefka, pamiętasz, dzisiaj wycieczka!—"

Naturalnie, że pamiętałam. Wyjątkowo szybko toaleta była skończona, śniadanie połknięte. Zabrałyśmy tylko najkonieczniejsze rzeczy i wraz z Baśką zbiegłyśmy wesoło na dół, wyciągając resztę towarzyszek. W pół godziny wszyscy i wszystko było już gotowe i na złamanie karku pędziłyśmy wdół, na drogę, po krzywych, kamiennych 80-ciu schodach. Stłoczyliśmy się wszyscy przy dwóch dużych, drabiniastych wozach i dalej się „pakować", na nie.

Nasza t. zw. „czwórka z pod dziewiątki", t. zn. ja, Baśka

Inka i Marylka a później i Puśka z naszą opiekunką p. Hanką zajęłyśmy przednią część wozu, no i naturalnie znalazł się tu Marcelek, popularnie zwany „Precelkiem". Bo jakby mogło się coś obejść bez niego? Na przodzie usadowił się woźnica w malowniczym, huculskim stroju, obok rozsiadł się wygodnie Marcel —Precel i oczywiście zabrał furmanowi lejce. Jeszcze chwila, ostatnie prośby o zachowanie ostrożności i... jazda! Raźno potoczyły się koła. Jechaliśmy.

Z początku cały Tatarów widny był, jak na dłoni, później zaczął znikać. Podrodze wypytywałam hucuła o drogę nad granicę, gdzie jechaliśmy. Do Jabłonicy było dość daleko, ale czas mijał nam szybko. Słuchaliśmy z zainteresowaniem opowiadań hucuła.

—„Tu"— objaśniał—„tu Chomiak, a tamtędy jedzie się na Howerlę"—i pokazywał batem szczyt, na którym śnieg lśnił w lipcowym słońcu. Było nam tak jakoś wesoło i lekko, że śpiewaliśmy całą drogę. Pod górę wozy wlokły się powoli, wtedy Precel rozśmieszał nas, „pomagając" koniom przez „popychanie" wozu swymi pięcioletnimi rączkami, to znów migał nam przed oczyma pociąg, mknący szybko na wysokim nasypie, a wtedy Precel zmieniał się w sapiącą lokomotywę—i tak nam zeszła droga, mile i wesoło. Jeszcze jeden zakręt, jedno wzniesienie—i oto ujrzeliśmy przed sobą granicę. Prawdziwą, czeską granicę.

—Więc to jest granica?! Przecież po „tamtej" stronie wszystko jest całkiem podobne. I ludzie chodzą tak samo, spiesząc się, rozmawiając, śmiejąc, i dzieci biegają i bawią się tak samo, jak my, i niebo jest tak samo błękitne, i dżewa są tak samo zielone, i słońce świeci tak samo, i góry tak samo sterczą dumnie i wyniośle, więc gdzież ta różnica...?—

Po zjedzeniu przez nas śniadania, które smakowało nam tak, jak nigdy, ruszyliśmy wzdłuż granicy; wzdłuż, bo o pójściu na przód nie mogło być mowy—część więc robiła fotografie, reszta zachwycone uwagi nad pięknem gór.

Precel tymczasem medytował dość długo nad wielkim, granicznym słupem, a potem, podczas chwilowej nieuwagi wartownika czeskiego przelazł na drugą stronę, przyglądając się wszystkiemu z zaciekawieniem. Wysoki, barczysty Czech, zauważywszy go, pogroził mu zlekka palcem, uśmiechając się przy tym dobrodusznie, Precel jednak, mocno speszony, zawrócił i przelazłszy pod barjerą, znalazł się znów w Polsce.

—„Pocoś ty tam chodził?"—spytałam go.—„Czy nie wiesz,

że nie można?

„Mogli cię wziąć do więzienia!"—

—„Nie można? Dlaczego?"—spytał ze zdumieniem Precel.

—„Nie można, Precelku",—odpowiedziałam—„bo to granica".

—„Granica?!"—i ogromne zdziwienie odbiło się w jego oczach —„a co to takiego ta granica? Gdzie to jest?"

—„O widzisz Precelku"—tłumaczyłam—„tę barjerę biało-czerwoną? Za nią nie wolno nikomu bez specjalnej przepustki przejść, bo to jest właśnie ta granica.

„—A kto tak zrobił? I poco?"—

„—Widzisz, ludzie podzielili się na państwa i powiedzieli, że tu jest granica—że tu kończy się np. Polska, a zaczyna Czechosłowacja.—A poco to wszystko.....?

Tu wtrąciła się Marylka, świeżo upieczona gimnazistka i jęła mu obszernie opowiadać o granicach stucznych i naturalnych, o tym, że ludzie się różnią mową i zwyczajami i t. d. i t. d. Wszystko to jednak nie trafiło mu do przekonania choć wytrzeszczał oczy i nadstawiał uszu jak mógł—nie zrozumiał.

Precel nie zrozumiał...
Ja też nie rozumiem...

* *
*

Czy rozumieją dorośli...?

Stefania Chaskelberżanka gim. kl. Ia.

REFLEKSJE OSZCZĘDNOŚCIOWE.

Powstał nowy termin: Oszczędność dnia codziennego.

Trudno jest jednak pobudzić do oszczędzania, a gdy kto spróbuje to uczynić (np. w formie referatu) osiąga skutek wprost przeciwny. Znudzonym śmiertelnie słuchaczom oszczędność brzydnie w zastraszający sposób.

Chcę wzrócić uwagę na pewne przejawy życia, gdzie dużo jest jeszcze do zrobienia.

Działo się to przed pięciu laty. Byłem wtedy w innym gimnazjum, gdzie każdy musiał mieć własne książki i nosić je na każdą lekcję. Każdy oczywiście starał się mieć książki jaknajbardziej brudne, podarte, aby profesor miał możność stwierdzić częstość użycia. Na początku roku wszyscy mieli nowe książki gdyż używane w roku poprzednim przez starszych o rok kolegów były zupełnie zniszczone.

Pewnego razu pod koniec roku jak grom spadła wiadomość. Jutro wszyscy mają przynieść swoje książki, pan dyrektor zrobi przegląd i najporządniejsi dostaną nagrody.

Nigdy chyba przysłowie—„potrzeba jest matką wynalazku" —nie znalazło powszechniejszego zastosowania.

Jeden z księgarzy zaczął wypożyczać książki po 10 groszy za dzień i... ku zdumieniu profesorów wszyscy przynieśli książki „jak nowe". Komisja była w przykrym położeniu: Której z nowych książek przyznać nagrodę. W końcu nagrody dostali uczniowie, których własne książki dawno do czytania się nie nadawały.

* * *

Drugi wypadek zdarzył się w przeddzień „dnia oszczędności" roku bieżącego. Było mglisto i dżdżysto. Na boisku dolnym wielkie kałuże błota. Dwaj koledzy zakładają się: kto w przeciągu pięciu minut bardziej się obłoci. Nie wiem z której klasy byli ci szanowni koledzy. Nie znam ich na tyle i nie chciałbym rzucać podejrzenia na klasę I. Fakt jest faktem i komentarzy nie potrzebuje.

Jerzy Węgrzyn kl. VIII gimn.

UWAGA REDAKCJI: W bieżącym roku, podobnie jak w ubiegłym, nie było ani zbiórki, ani akademii oszczędnościowej w naszej szkole. Każda klasa wykonała pracę, mającą na celu naprawienie, wzmocnienie, przystosowanie do użytkowania przedmiotów, którym groziło zniszczenie i wyrzucenie. Mamy przeświadczenie, że była to dobra nauka oszczędności.

Patrzymy na ludzi.

JA... NIE ŻEBRACZKA...

...„Uczucia nierozbierane, nienazywane okrywają rozległe niziny ludzkości, lecz dlatego, że kwitną nisko i są bezimienne, mieszkańcy gór mniemają, że ich wcale nie ma"...

(E. Orzeszkowa – „Cham").

Było już dawno po żniwie. Na pustym polu stały jeszcze gdzie niegdzie na zagonach ciemno—brunatne kopy hreczki, lecz było ich niewiele. Szary, drobny kurz z szerokiej piaszczystej drogi rozsiadł się wszechwładnie, przykrywając grubą warstwą przydrożne wierzby, trawy i chwasty, widniał on także na słupach telefonicznych, biegnących w równych odstępach wzdłuż drogi.

Szedłem powoli ścieżką, wijącą się obok i odzieloną od tej

drogi dość szerokim rowem, pełnym ostów i niebieskich cykorii.

Z za niedalekiego pogórka wychyliła się jakaś gruba postać, która zbliżała się powoli, zgarbiona, opierając się na krzywym, sękatym kiju. Była to bardzo stara kobieta, ubrana w szarą siermięgę, przepasana czerwoną „krajką“, o twarzy grubej, chudej i gęstą siecią zmarszczek pokrytej. Przez szerokie plecy przewieszony miała jakiś duży tłumok, owinięty w płachtę z grubego płótna. Skóra na dużych rękach była popękana, a palce wykoślawione—zapewne od pracy. Bose, duże jej stopy były obrzękłe i pokryte kurzem.

Przechodząc obok mnie, zapytała nieśmiało:

—Czy daleko, paniczu, do Kołek?—

Uderzyła mię w jej głosie nuta wyczerpania i niewymownego zmęczenia.

Odpowiedziałem, że Kołki oddalone są tylko o 4 km i wyraziłem przypuszczenie, że musi być z daleka, skoro nie zna tych okolic. Starała się mówić po polsku, lecz widocznym było, że przychodzi jej to z trudnością.

—Bo to ja paniczu, z daleka... dawno już tak idę. Ja sama z Polisia, aż za Czartoryskom moje seło, het, za Czartoryskom... —przystanęła na chwilę, jakby chcąc nabrać tchu do dalszego mówienia—

Na „zażan“ (żniwo), ja chodziła, na chlib zaroblać, a ot wertaju teraz, taj tiażko meni starij, oj tiażko...

Westchnęła głośno, pokiwała głową, patrząc w ziemię.

Zapytałem ją, gdzie pracowała, a gdy dowiedziałem się, że w Horodnicy (między Dubnem a Łuckiem) wyraziłem zdziwienie, bo przecież mogła dostać się z Łucka do Czartoryska statkiem rzecznym za bardzo małe pieniądze, nawet za 80 gr. ze względu na konkurencję wielu statków, jakie kursowały na tym odcinku.

—Pie-nion-dze!— wymówiła ostro i porywczo, cedząc poszczególne sylaby. Zaśmiała się z bolesną ironią.

—Kab ja te pie-nion-dze miała! Niewiele ja zarobiła i to muszę na chlib oddać. Za pół złota (złotego) i charcz (wikt) ja tiażko pracowała w każdyj deń, bo każut, że ja stara...

Ogarnęła ją widocznie chęć wyrzucenia z siebie tego, co czuła, bo szybkim ruchem zdjęła ciężki swój tłumok i rzuciła go na ziemię, a oczy jej dotychczas zgasłe nabrały niespokojnego blasku. Mówiła szybko i długo o swoim harowaniu przez całe życie, o ciężkiej krzywdzie, jakiej doznała będąc wdową od swoich krewnych i o tym, jak teraz musi iść, potykając się i odpoczywa-

jąc w cieniu prawie każdego przydrożnego krzaku...

Oddech jej stawał się szybki, świszczący.

Gdy mówić przestała stałem jakiś czas bez ruchu, głęboko i z żalem, współczując tej znękanej, starej kobiecie.

Nie wiedziałem, w jaki sposób jej pomóc.

Przypomniałem sobie, że posiadałem kilka złotych. Skwapliwym ruchem sięgnąłem do kieszeni po portmonetkę i chciałem jej wręczyć pieniądze mówiąc:

—Babulu, proszę was bardzo, przyjmijcie to ode mnie...—

Popatrzyła na mnie zmieszana i jąkając się, wymówiła:

— Ja... nie poto wam mówiła... opowiadała... Ja... nie ż e b r a c z k a!...—

Szybko zarzuciła, swój tłumok na plecy i pośpiesznie, jakby przelękniona, odeszła.

Nie mogłem wypowiedzieć ani słowa i długo zapewne stałem osłupiały, trzymając w ręku kilka monet.

Po pewnym czasie spostrzegłem, że miałem w oczach łzy.

J. Saw. gimn. kl. VIII.

ZDARZENIA...

—Ulica ciemna, za mglona, błotnista.

Szybkim krokiem przechodzi—dobrze ubrany—pan. Od słupa latarni odrywa się postać w łachmanach: wysoka,—barczysta schyla się, zgina przed panem, rękę wyciąga i—prosi „Dajcie panie kilka groszy,—mnie z więzienia dziś wypuścili—nic nie jadłem“—

—„Co?—Ja?— ja—ja—nie mam pieniędzy przy sobie!!“—krzykliwym głosem odpowiada pan—i czemprędzej odchodzi, oglądając się trwożnie i z pogardą.

—Styłu słychać głos dziecka: „Mamusiu, — co ten człowiek chciał?” — „On chciał zabrać temu panu pieniądze!“—odpowiada surowym i moralizatorskim tonem—matka,—i trzymając dziecko za rękę przechodzi szybko koło skulonego, złamanego człowieka, kryjącego swoją nędze i ból w łachmanach i mroku mgielnym.—

—A dziecko ogląda się z palcem w buzi—i szeroko otwartymi oczyma patrzy na (—może pierwszego?—) człowieka—„człowieka, który chciał—zabrać!...”—

— A potem wszystko się w mgle stopiło.

* * *

Targowisko. Krzyk, hałas, przekleństwa, nawoływania - Baby,

chłopi—w kożuchach, z pierwszymi warzywami w ręku—sprzedają. Stragany brudne, zasypane stosami towaru, wagi pordzewiałe, garnki z żarzącemi się węglami—a nad nimi ręce sine — grube, grzejących się straganiarek, w chustkach na głowach i w pseudo—białych fartuchach.—A pod nimi—pod straganami, pod nogami,—królestwo małych dzieciaków—obszarpańców, kłócących się o odpadki, rzucających w siebie zgniłe resztki, kradnących z za pleców towar.—

Chłop zamożny dostatnio ubrany, zadowolony ze sprzedaży wawżywa usiadł na kawałku drzewa,— wyciągnął z za kożucha kawał chleba i słoniny,—zaczął jeść!—Gromadka bawiących się dzieciaków przystanęła.

Chłop jadł,—i skórkę—widać przypaloną — co niedość mu smakowała—odrzucał na kupę śmiecia, przed nim leżącą. Od gromadki odsunął się jakiś malec, podbiegł do śmieci, wyciągnął skórkę i zaczął jeść.

Chłop rozśmieszony kiwnął na żydziaka—ten podszedł—chłop końcem biczyska stuknął go w gołą pierś widoczną z za łachmanów koszuli obszernej i obwisłej,—szturchnął go,—zaśmiał się—i zaczął rzucać kawałki skórki do śmieci, przywołując co chwila malca do siebie i szturchając go biczyskiem.

Śmiał się, zadowolony...

* *
*

—A kędyś,—na kliszach wieczności czynów ludzkich—odbite zostały one,—świadczyć o człowieku naszych czasów.

R. Stachórski kl. VII.

FRANEK PLEWA

Franek Plewa w klasie był nielubiany. Nic dziwnego, komu mógł się podobać chłopak niezgrabny, chudy, z nosem, jak dojrzały ogórek, z ustami jak dwa czerstwe rogaliki, o uszach sterczących jak u zająca.

Jedne oczy...

Oczy miał naprawdę ładne. Duże, tęskne, marzycielskie oczy o kolorze szarym, tak, jak szarą może być dola sieroty. Rodziców stracił Franek, będąc jeszcze dzieckiem.

Frankiem zaopiekowało się bogate, bezdzietne małżeństwo, a to dlatego, iż małżonek należał do pięciu kółek dobroczynnych i w każdym był prezesem, a czcigodna połowica do dziesięciu i w każdym była vice—prezeską.

Niedługo nasz sierota korzystał z opieki. Po czterech latach małżeństwo zgodnie oświadczyło, że wychowanek jest za głupi na to, żeby łożyć pieniądze na jego wychowanie. Po krótkiej naradzie uchwalono większością głosów, że Franek zostanie odstawiony do pobliskiej szkoły, by tam, przy boku oświeconego nauczyciela szkoły powszechnej w ciszy i skupieniu zdobywać pierwsze tajniki wiedzy. Na kształcenie i utrzymanie Franka przeznaczyli opiekunowie skromną sumkę pieniędzy.

W ten sposób, a umywszy ręce, małżeństwo mogło spokojnie zająć się nową aktualną sprawą: „O podniesienie poziomu moralnego wśród bezdomnej młodzieży".

Minęło osiem lat.

Widzimy naszego bohatera w VI-ej klasie gimnazjum.

W tej-to klasie Franek był szczególnie nielubiany. Wystarczyło, by zjawił się w klasie, zewsząd sypały się drwiny, pogardliwe spojrzenia, a on, ot jak zwyczajnie durna, tępa głowa, patrzył na wszystkich swym pogodnym, jasnym wzrokiem i uśmiechał się swymi jak dwa czerstwe rogaliki ustami.

Nieraz się klasa burzyła: „Poco, naco nam taka oferma sztabowa, wstyd nam tylko przynosi. Taki cham!"

Nauka Frankowi nie szła; Ale cóż, zaledwie jedno zapamiętał, już drugie mu przez uszy wylazło. Zresztą i warunków pracy nie miał dobrych: Maleńka ciasna izdebka z jednym okienkiem, ławka, krzesło, półka i to wszystko. Najgorzej to było z podręcznikami. Trzeba było pożyczać od kolegów. No, a koledzy, nic dziwnego, „oszczędni z natury", niezbyt chętnie mu je pożyczali.

„Cóżto sobie myślisz, będziemy ci wiecznie pożyczać, a ty nam będziesz ścierki odnosił?!"

„Widzicie go, jaka to chytra bestia"—mówiono.

Raz wybrano go, jak to się mówi: „na grandę" skarbnikiem klasowym. Wtedy-to biedak miał roboty! Proś każdego, błagaj o o dziesięciogroszówką na składkę.

Nieraz oberwał dobrego szturchańca, lub w braku tego kilka słów na temat swojej osoby. Wiadomo, przecież czasy ciężkie, a pieniądze potrzebne.

Kasa klasowa prawie pusta, a tu wydatki mnożą się i mnożą. Klasa w krzyk: Cóż to za niezdara z tego skarbnika,! Zrobiliśmy mu „łaskę", żeśmy go wybrali, to on nam się tak „chwacko spisuje". I zleciał nasz skarbnik na zbity łeb ze swego stanowiska.

* * *

Dochodziła godzina jedenasta. Właśnie z kina, z niedozwolonego filmu wysypała się szumnie i hucznie tak zwana „złota młodzież."

* * *

Wiatr jesienny cichy, przejmujący przekradał się chyłkiem poprzez konary nagich drzew aż do prostych krzyży, bielejących z daleka wśród ciemnych drzew lasku.

Na cmentarzu nie było nikogo. Tylko przy jednym grobie klęczała jakaś postać ludzka. Czoło wsparła na szarej płycie grobowej. Było cicho. Tylko od czasu do czasu z piersi człowieka dobywało się ciche, przejmujące, głuche łkanie. Zdawało się, że to niejeden człowiek płacze, ale gdzieś z oddala echem niezliczonym wtórują mu skargi nieznane, jakichś istot, nibyto ludzi, a właściwie nie ludzi!

I niósł się ten szloch serdeczny długo, długo w jesienny wieczór.

* * *

Świtało już, gdy głupi Franek Plewa wracał od grobu matki.

B. gimn. kl. IVb

Ż N I W O.

Nad głową jednostajna toń lazurowego błękitu,
Po środku słoneczna kula helios życiotwórczy;
A wokół łan szeroki pokryty płowym żytem.
Polne koniki świerszczą w trawie i bąk gdzieś głucho burczy.

Pot spływa po opalonych na bronz obliczach żniwiarek,
Lśni w słońcu sierp nad parobka słomkowym kapeluszem.
Gdzieś w dali wzbił się w górę tuman kurzu szary
Mołodycia karmi dziecko pod cienistą gruszą.

Zieloną miedzą idzie boso dziewczę czarnobrewe,
Niesie w glinianym dzbanku świeżą, zimną wodę.
Kłaniają się jej szkarłatne maki i modrookie chabry—
Bóg wam dopomóż! Szczęść Boże, robotnice młode!

Ciągną za żniwiarzami długim sznurem snopy
Grubieją naręcza kłosów brzemiennych ciężkim ziarnem,
Nikt nie narzeka, że upał, że ściernie ranią stopy
Wszyscy się cieszą – urodzaj—trudy nie poszły na marne.

Paweł Hall b. wych. L. K.

W TEATRZE.

Mały Chwang-Cho pierwszy raz poszedł do teatru.

Do małego miasteczka, w którym mieszkali państwo Czang, przyjechał teatrzyk i oznajmił o tym mieszkańcom dużymi, czerwonymi afiszami. Było na nich napisane, że teatr ten jest najlepszym teatrem w Japonii, że przedstawienie widział i chwalił sam mikado, że grają je najlepsi japońscy aktorzy i.... wiele innych różności.

Oczywiście, że malec postanowił pójść do teatru zaciekawiony tym wszystkim. Stojąc przed afiszem, opowiadał kolegom o tym, że rodzice obiecali mu już dawno tę przyjemność. Chłopcy zaintrygowani pięknym smokiem w rogu afisza, a jeszcze więcej opowiadaniem kolegi, patrzyli nań z poszanowaniem i każdy przyniósł mu cukierka wzamian za przyrzeczenie opowiedzenia tych cudów. To też Chwang-Cho był w cudownym humorze, gdy w barwnym kimonku biegł za rodzicami na przedstawienie. Malcowi serce zadrgało, gdy z daleka ujrzał czerwoną szopę, w której się mieścił teatr, gdy usłyszał dzwięki hałaśliwej muzyki oniemiał, to też trudno wyrazić jego uczucie, gdy po wejściu na salę ujrzał piękną girlsę tańczącą jakiś taniec. Lecz był to tylko antrakt i po chwili dopiero zaczęło się właściwe przedstawienie. Malec zdążył się rozejrzeć po sali i przejęła go ona podziwem dla samego jej ogromu. U sufitu wisiało kilka świecidełek i piękny, żółty smok. Gdy państwo Czang zajęli miejsce w jednym z kwadratów, z których składa się widownia, rozpoczęło sią przedstawienie. Tyle tam było rycerzy, czarowników, tanecznic, mędrców, żebraków i innych królów, że aż mu się wszystko pokręciło w głowie. I czy można się temu dziwić. Siadł więc wygodnie, przegryzając słodycze i poprzez zmrużone oczy spoglądał na scenę. Właśnie na scenie odbywa się tragedia, bo do domku śpiącego samuraja skrada się czarownik. Krajobraz jest piękny: zdaleka widać w mgle wysoką górę a u jej podnóża stoi masa pięknych pałacy, z przodu sceny w wiśniowym gaju stoi domek samuraja, do którego podchodzi właśnie czarownik. Na chwilę znika w jego ciemnym wnętrzu i wyprowadza z niego żonę japońskiego rycerza. Biedna kobieta szamocze się, ale czarownik trzyma ją mocno i zakrywa usta. Nagle czarownik zmienia się w złego sąsiada państwa Czangów (rodziców Chwang-Cho), a żona samuraja w jego matkę. Z zagrody wypada samuraj—ojciec malca i po walce z czarownikiem pada, brocząc krwią. Wówczas zły

sąsiad prowadzi matkę na szczyt góry, mszcząc się na niej za dawne przewinienia. Matka płacze na górze i woła: „Synku ratuj". Malec zrywa się włazi na górę, ale ta jest śliska i wysoka tak, że malec kilka razy spada. Mimo to niestrudzenie pnie się dalej podniecany głosem matki. Wtem nagle widzi, że matka zmienia się w żonę samuraja i stoi z boku sceny, ojciec jego jest zwykłym samurajem, a czarownik jest znów czarownikiem. Nad sobą widzi, matkę mówiącą; „Długo będziesz jeszcze spał ty śpiochu?"

Mały Czang nigdy więcej nie był w teatrze.

Z. Jursz kl Ia. gimn.

CHARLIE!

Tak długo milczałeś. Byłeś jedną z nielicznych wysepek milczenia wśród burzliwego oceanu cierpień i krzywd odwiecznych. Lecz skarga ludzka, skarga milionów biła zawzięcie i rytmicznie w twarde brzegi świadomości uczciwego jak ty człowieka. Skruszyła powoli jej twarde opancerzenie, broniące przed bólem, jaki zadaje smutna, naga prawda. Wreszcie dotarła do twego serca. I pozyskała je dla sprawy ludzi pracy. Stałeś się jej szermierzem na srebrnym ekranie. Swym genialnym umysłem objąłeś i zgłębiłeś życie nowego świata!

Przedstawiłeś nam zarówno obrazy fal wzburzonych, nędzą i wiecznym upokorzeniem, jak i tych, co ujawnili twórczą energię, drzemiącą w masach, tych którzy wcisnęli ją w żelazne ramy zysków jednostek, przeistoczyli człowieka—w zwierzę robocze. Ród ludzki—w stado baranów.

Sam kreujesz rolę robotnika w ultra—nowoczesnej fabryce. Przed tobą przesuwa się stalowa taśma. Ręce twe są uzbrojone w dwa francuskie klucze. Pada suchy rozkaz dyrektora:—przyśpieszyć tempo!

Taśma rusza coraz prędzej. Ręce ledwo mogą nadążyć za śrubką, którą masz przykręcić.

Kluczami operujesz szybko i zręcznie:

Twój cel życie został zredukowany do przykręcania śrubki. Praca ta nie jest ciężką. Lecz ruch ten, ciągle ten sam, wykonujesz już może po raz setny, tysięczny, dziesięciotysięczny, i to ciągle szybciej. Tempo pracy ciągle się zwiększa. Słyszysz... „tempo dwa! potem „trzy"!. Stajesz się automatem. Oddajesz swej czynności cały wysiłek fizyczny. Robisz to bezmyślnie. Z czasem umysł twój przestaje normalnie pracować. Komórki mózgowe są

zdolne skoordynować tylko jeden, jedyny ruch! Jesteś niezdolnym do żadnej innej pracy. Po kilku latach—warjujesz. Stajesz się niedołęgą życiowym skazanym na zagładę.

Ekonomicznie biorąc jest to głupstwo, nad którym się przechodzi do porządku dziennego.

Wszak bezrobotnych ma Ameryka, dzięki Bogu, ponad 12 miljonów. Znajdzie się inny na twoje miejsce. Wszak jesteś tylko kółeczkiem mechanizmu. Kółeczko się zepsuło—zastąpi się innym. Niema w tym żadnej tragedii. Tragedią jest to, że masz jeszcze nerwy. Drażni cię mucha, która łazi po spoconej twarzy. Siada na nosie na wardze; Tej cechy organizmu nie zdołała osiągnąć maszyna. Chcesz odpędzić muchę: trwa to prawda jeden moment! Ale zapomniałeś, że stołowa taśma nie czeka. Pędzi dalej, a z nią i śrubka, którą musisz przykręcić. Spóźniłeś się! Minęła już twe stanowisko. Lecisz szybko za nią—taśma śrubka.... Wpadasz na pracującego obok ciebie. Przeszkadzasz mu wykonać jego ruch. A to grozi potrąceniem z zarobków. Rozpoczyna się między wami walka. O co? O ochłap z pańskiego stołu. Z kim? Z takim jak ty nieszczęśnikiem przykutym do rydwanu maszyny, która przynosi bogactwo jej właścicielowi, a tobie zanik człowieczeństwa i śmierć w domu dla obłąkanych! Zrozum nareszcie wariacie, że niczem się nie różnisz od swych braci—stalowych kół i trybów, które cię tym przewyższają że nie odpędzają much gdy na nie siadają. Zapomniałem! Masz jeszcze jedną wadę. Potrzebujesz przerwy w pracy, by zjeść obiad. No to się da jeszcze naprawić. Mamy wszak cudowną technikę. Stworzy się maszynę, która usprawni i tę funkcję żyjącego organizmu. Będziesz dzięki niej szczęśliwym. Żyć będziesz jak w bajce; pieczone gołąbki będą ci same wlatywały do gąbki.

Ty się jednak nie cieszysz. Dlaczego? Czy odezwie się w tobie filister i oznajmi, że to upokarza duszę ludzką być karmionym w kwiecie lat przez niańkę-maszynę. Głupcze! Nie jesteś w takim razie amerykaninem, człowiekiem bussinesu. Kto się liczy z takimi wymysłami, gdy wiadomo, że można w ten sposób skrócić porę obiadową. A przecież czas - to pieniądz. Każda skradziona ci minuta odpoczynku—to milionowe zyski Morganów i Rockfellerów.

Taka jest Twa ojczyzna Charlie.

Takimi są „Dzisiejsze czasy".

J. L. kl. VIII gimn.

Tłoczono w drukarni W. Cwika w Krzemieńcu.